

Ewa Dałkowska

część I z II

Sygnatura notacji: **N0639**
Data urodzenia: **10.10.1947 r.**
Data nagrania: **25.07.2024 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Jesówka, Polska**
Prowadzący/y rozmowę: **Artur Kłus**
Czas nagrania: **część I: 38 min, część II: 57 min**
Format nagrania: **video**
Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Ewa Dałkowska: No więc Ewa Dałkowska, 10 kwiecień 1947 r. Urodzin nie obchodzę z powodu katastrofy smoleńskiej, bo wtedy, zamiast usłyszeć życzenia, usłyszałam wiadomości straszliwe. Nawet byłam w Smoleńsku, żeby sprawdzić, to jestem pod wrażeniem katastrofy, tak to uważam. No nieważne, w każdym razie jestem Dałkowska i urodziłam się we Wrocławiu. I mam dwoje rodziców, miałam we Wrocławiu. Przenieśli się oni do Wrocławia i tam znaleźli rozmaite miejsca zamieszkania. Ostatnie z nich na Sępolnie, we wspaniałej zerowej dzielnicy historycznej, w której do dzisiaj moja rodzina mieszka, bo chce mieć to w pamięci. Mieszkałam również na Krzykach, naprzeciwko Polskiego Radia, więc byłam tam na wszystkich koncertach, na występach chóru. I chodziłam do radia jako mała dziewczynka, która chce pracować w radio. I oni mnie przyjmowali, grałam różne role, nawet pieniądze zarabiałam, po prostu jako mała dziewczynka. No i co ja jeszcze swojego? No zdrowa jestem, czego i wam życzę.

Artur Kłus: Rodzice, jak się nazywali?

Ewa Dałkowska: Rodzice: Maria, Stefan. Mama była w domu, można powiedzieć. Mogła być kreślarką i tak dalej, ale była w domu, ponieważ było troje dzieci. Ja byłam najstarsza, a mój brat był o pięć lat młodszy, a siostra o cztery. Siostra prawniczka, brat malarz.

Artur Kłus: Jak się nazywają?

Ewa Dałkowska: Małgosia i Cezary. Cezary świętej pamięci, zostały po nim obrazy. No i co jeszcze? Że ja się

nazywam, tak? Aha, no i mieszkaliśmy właśnie w różnych miejscach Wrocławia, aż wreszcie skończyliśmy na tym Sępolnie i do dzisiaj z tym wiązę swoje wspomnienia. No to była taka rodzina, co od razu, jak miałam sześć lat, to mnie posłali na lekcje muzyki, ponieważ – obowiązkowo – nie mieli pieniędzy, a jednak mieli pieniądze na panią, która mnie uczyła gry na pianinie. To było obowiązkowe zajęcie, no i parę innych później zajęć, na przykład spacerów w górach. Każdego roku morze, góry. Takie obowiązki, żebyśmy byli żywi i ruszali się i zwiedzali wszystko. Wszystko to z brakiem pieniędzy związane, niezwykłym, bo wtedy przecież, co tu dużo gadać, 1947 r., no to sobie wyobrażamy, to są tam pięćdziesiąty – jakie to były pieniążki. Nie było łatwo prawnikom. Mój ojciec był prawnikiem, ale nie było łatwo, sam potem założył zespół adwokacki nr 2. [śmiech] Ciężko mu tam było jakoś wytrwać w gronie rozmaitych wrocławskich prawników, mieli pewne problemy historyczne itd. No a ja sobie się uczyłam, uczyłam, uczyłam, a że wreszcie mi tam polonistka powiedziała, że ja na biologię to nie powinnam się udawać w 11. klasie, tylko mam iść do szkoły dramatycznej. Wrocław był pełen gruzów. Ja się nauczyłam przebiegać po gruzach, bardzo sprytnie i tak dalej, ale to teraz sobie to aż mi się zimno robi, jak to sobie przypominam. Ale trzeba było być dzielnym, trzeba było być do przodu, nie dać się nikomu zagadać i trzeba było impetem na rozmaitych przechodniów reagować, siłą. Tak że nie miałam przykrych z łobuzami spraw.

Artur Kłus: A rówieśnicy? No bo Wrocław to było takie miasto, gdzie dużo ludzi było z różnych regionów Polski, z Kresów.

Ewa Dałkowska: Tak, tak.

Artur Kłus: Ci Rówieśnicy, to podwórko, koledzy, koleżanki, jak to pani wspomina, tą szkołę właśnie?

Ewa Dałkowska: No bardzo fajnych miałam, tylko ja byłam łobuzka trochę, taka, jak już prawie mężczyzna, więc wspinałam się, jakieś ciągle robiłam rzeczy gimnastyczne, nawet parę razy sobie porzęptałam głowę, bo spadałam na schody. Sąsiadki miałam bardzo fajne i rówieśników też miałam bardzo fajnych, ale nic teraz sobie szczególnego nie jestem w stanie przypomnieć, co tam się działo z rówieśnikami. Miałam ciekawych nauczycieli. A najciekawsze było to, że po prostu likwidowali nam języki. Mieliśmy się uczyć kogo? Rosyjskiego, prawda? A nie żadnej angielskiego czy też łaciny. Ja łaciny się uczyłam zresztą w szkole, co zawdzięczam im bardzo, bo to jest dobrze się łaciny uczyć. Jednak coś, co jak się urywa i tego nie ma, tej łaciny, to gorzej się człowiek porusza w kulturalnym świecie. Natomiast właśnie nam zabierali możliwość uczenia się innych języków, tylko właśnie rosyjski. Miałam szczęście, bo ta pani od rosyjskiego była po prostu fenomenalna i ja do dzisiaj umiem rosyjski, a pewnie angielskiego bym nie umiała. Ale poszłam od razu na lekcje prywatne, na niemiecki, na angielski. Na prywatne lekcje właściwie całe życie to próbowałam robić, ale nie znam języków, szczerze powiedziawszy, poza rosyjskim. [śmiech] No, ale ten nacisk taki straszliwy na nas to był rzeczywiście, że mamy się tylko rosyjskiego uczyć. No takie czasy. Co to my jeszcze tam robiliśmy? Robiliśmy kabareciki różne, oczywiście w szkole, małpki takie z siebie robiliśmy z koleżankami, z Alką Kasiurą. Występy. No jakoś to się coś, tak jakby to powiedzieć, okazywało, że coś by się chciało robić w dziedzinie artystycznej. Chodziłam na konkursy recytatorskie, gdzie były wspaniałe zupełnie kobiety, Irena Rzeszewska, i one nas po prostu uczyły kultury. One nas przyjmowały we Wrocławiu, w Domu Związków Twórczych, gdy siedział Grze-

gorzewski i różni artyści. I myśmy tam mogli sobie wchodzić jako jeszcze nieletni. Tak że bardzo z dobrymi ludźmi wychowującymi nas. Fenomenalna polonistka. Co ja, jeszcze? Łacinnik genialny po prostu, dzięki niemu wygrałam nawet jakiś konkurs. Ja, taki nie łuk. [śmiech] Klasę miałam damską. To jest też ciekawe dosyć, same baby. Jeszcze wtedy była jakaś taka tradycja, że się robiło męskie i damskie osobno. – No więc jak mi Basia Josiak, nauczycielka moja powiedziała, żebym się przestała wygłupiać, i że mam iść do szkoły teatralnej, czy dramatycznej, jak ona powiedziała, to ja poprosiłam rodziców, bo elegancko, żeśmy się wobec siebie zachowywali, tak nas nauczyle, poprosiłam rodziców do stołu i oznajmiłam im to. To był dla mnie też szok, ja chciałam na biologię iść. Byłam ogólnie zdolna, no po prostu, krótko powiedziawszy. I wtedy tatuś spoważniał i powiedział, że dlatego jesteśmy we Wrocławiu – nasza trójka, siostra i brat i ja – żebyśmy studiowali we Wrocławiu. A nie było wtedy jeszcze szkoły teatralnej we Wrocławiu. No więc powiedziałam: to proszę mi wymienić jakieś studia dla dobrych panienek z dobrych domów. Filologia polska. I poszłam na filologię polską, zdałam tam. Fantastycznie zupełnie. Ta filologia polska, jak się teraz narzeka na uniwersytety i tak dalej, to wydaje mi się, że to był rewelacyjny Wydział, ta filologia. Ale ja z tego nie korzystałam, ponieważ zaraz zaczęłam się już interesować aktorstwem. Poszłam do Teatru Kalambur, tatuś mi powiedział: jest taki Kalambur i ogłasza właśnie egzaminy. No to poszłam, zdałam egzamin i mnie tam przyjęli i zagrałam od razu w „Szewcach”, najśłynniejszym ich przedstawieniu. No i w ogóle się zakochałam w tym miejscu, to wspaniały był teatr z tego powodu, chociaż trochę komunistyczny był, czy tam taki polityczny, ale ja tego nie zauważałam. Natomiast były takie narady, obrady cotygodniowe, gdzie rozmaite wspaniałe osoby przychodziły dzielić się z publicznością wiedzą kulturalną. I to były cudowne wieczory. No a i granie też było fajne. I z Kalamburem jeździłam po Polsce już, ponieważ oni jeździli na różne festiwale z tymi „Szewcami”. Ci „Szewcy” byli fenomenalni. Ja tylko grałam dziwkę bosą, taką malutką osobę, ale w każdym razie przyjęto mnie i chętnie mnie już później zatrudniano. Do tego stopnia, że jak po trzech latach powiedziałam, że już idę, czy po dwóch, przepraszam, że już idę do szkoły teatralnej na egzamin, bo mnie to dręczyło, ten zawód mnie dręczył, no to powiedzieli, z takim zgorszeniem na mnie spojrzeli, jakbym się nie nadawała do tego w ogóle. Jak ja bym im uwierzyła, to bym nie poszła. Czego ja tam szukam, skoro mogę znaleźć to w Teatrze Kalambur? Do dzisiaj z nimi jestem w kontakcie, wydają książeczki, opowieści. To bardzo barwne, świetni ludzie, w ogóle cudowni tam się znajdowali. Uczelnia też, Czesław Hernas, który mi dał temat teatralny, kiedy pisałam pracę magisterską o Dejmku i jego staropolskich inscenizacjach. Tak że tak jakoś się do mnie dostosowali i nie pozwolili mi odejść z tej filologii. Ja byłam już, dostałam się do szkoły teatralnej w Krakowie, za drugim razem dopiero, bo pierw mówili, że jestem zmanierowana przez Kalambur. [śmiech] I potem się tam dostałam. Jeszcze tylko się zastanawiali, czy ja przypadkiem nie podstawiałam kogoś pod taki, co się robi te, z wiedzy egzamin, trzeci etap. Bo się przebrałam, zupełnie inna byłam i myśleli, że ja może podstawiam jakąś koleżankę, żeby za mnie zdała egzamin. To było bardzo zabawne. No i dostałam się do tego... A moje władze uczelniane filologii polskiej im. Bieruta zresztą, to te moje władze powiedziały, że ja nie powinnam iść. Jak to się mówi? Że zaocznie studiować, tylko żeby zostawać na dziennych studiach, bo te dwa lata nie są takie intensywne i ja sobie dam radę. No i ja przepędziłam dwa lata, stąd nie mam mózgu w ogóle. Widzi pan, jakie mam kłopoty z pamięcią. [śmiech] Dwa lata w pociągach, tramwajach, we wszystkim, bo musiałam między Krakowem, a potem Warszawą, bo przeniosłam się i właśnie Wrocławiem wędrować. Nauczyłam się spać, zaczepiwszy się o takie to łóżko, co jest tam do tego, bo bardzo przepełnione były pociągi. No i zgłupiałam, no po prostu jednak to już było zbyt ciężkie. Napisałam, obroniłam tę samą pracę w szkole. W szkole dali mi czwórkę, a na filologii piątkę. [śmiech] Takie były różnice. I tego, dubel magister. To tak to mniej więcej wyglądało.

Artur Kłus: Pani w Krakowie studiowała dwa lata, tak?

Ewa Dałkowska: Tak. I bałam się, że mnie tam zmarnują. Jakoś było źle. Nie podobali mi się ci nauczyciele. To nie wypada mówić, bo Kraków jest zawsze lepszy od Warszawy. Nie miałam nawet komu powiedzieć o tym, bo oni by się zgorszyli, że ja chcę przejść do Warszawy. Do takiej głupiej Warszawy? A poszłam na taki rok, że po prostu zwariowałam ze szczęścia. Marek Kondrat, Jadzia Jankowska, no w ogóle tyle osób wspaniałych zupełnie tam było na moim roku. Był wspaniały nauczyciel Gogolewski. [śmiech] Naprawdę był świetnym nauczycielem, tak że poszłam do niego do teatru nawet, bo mi się tak podobało, jak on traktuje studentów. Świetni ludzie, Bardini, no w ogóle cuda wianki, ci aktorzy fenomenalni. I teraz ani jednego oczywiście nazwiska, no bo czego nie mam? Pamięci, co? [śmiech] Ale to zestaw no samych mistrzów. A w szkole nie uważało się ich za mistrzowski rok. I dlatego byli niezmanierowani, tylko byli wspaniałymi zupełnie ludźmi. Uważało się, że mistrzowski rok to jest ten, co będzie za nimi albo po nich, przed nimi albo po nich. A ten to... Pojechaliliśmy z nimi do Ameryki z przedstawieniami, przypadkiem, za jakiś inny rok. Więc przeżyłam tę Amerykę. Wszyscy się bali, że studenci naszej szkoły zostaną tam wszyscy, jak jeden mąż. Nikt nie został. Fenomenalne zupełnie, żeśmy tam mieli w Austin, w Texasie wystąpienia i w Nowym Jorku. Tak że bardzo była wspaniała ta... Pamiętam taką niegrzeczną historyjkę, mianowicie lubiliśmy się z profesorem Bardinim, nawzajem zresztą. I kiedyś na jakimś dworcu amerykańscy studenci mnie zaczęli zaczepiać. Na co, jak on zobaczył, że oni mnie zaczepiają w sensie takim... To po prostu kopnął mnie w dupę. [śmiech] Zamachnął się i kopnął mnie, żebym otrzeźwiała, że żadni z Teksasu studenci nie będą mnie nabierać na miłość, prawda. Ale było wspaniale, wszystko było wspaniale.

Artur Kłus: A ciężko było się przenieść właśnie z Krakowa do Warszawy?

Ewa Dałkowska: Więc poszłam i powiedziałam... Tylko kto to był? Nie przypomnę sobie. Michał, nie... Mikołajska, nie... Pani profesor powiedziałam, że miłość też może być argumentem, a ja wtedy wyszłam za mąż, nie za tego męża, tylko za Andrzeja Symonowicza. I jeszcze tak, on był w Warszawie, ja we Wrocławiu i w Krakowie, no takie różne. Tak że ona powiedziała, że... Mrozowska, Zofia Mrozowska. No i ze zrozumieniem posłuchała, że miłość też może być argumentem i mnie przyjęła na egzamin, straszliwy. Wszystko tam miałam robić: śpiewać, tańczyć, recytować. Naprawdę bardzo duży egzamin mi zrobili. A potem mnie Maciek Szary mnie wziął tak o i już zaprowadził na jakieś zebranie, na jakiś wykład i tak dalej. Byli tam wspaniali nauczyciele, fenomenalny rok po prostu. Jak się zobaczy te twarze, jak gdybym ja była sobie łaskawa przypomnieć je wszystkie, moich kolegów, to by było lepiej.

Artur Kłus: No tam właśnie Pani wspomniała, Kolberger, Radziwiłowicz, Kondrat, Jankowska, między innymi te osoby z tego roku.

Ewa Dałkowska: Tak, no ale jeszcze tego było. Fantastyczni ludzie. No i co? I się skończyło. Poszłam do Gogolewskiego. A za dwa lata Hübner zakładał Teatr Powszechny, który był odremontowany, w ogóle przez pewien czas nie działał. Przedtem działał Teatr Powszechny, oczywiście pod wodzą Hanuszkiewicza, a później nie. On remontował i on został dyrektorem tego teatru. Jak moja koleżanka z Katowic poszła do niego się zaangażować, zastała go na placu budowy oczywiście. Stał na placu budowy. To on powiedział: „a u was jest Ewa Dałkowska, to niech ona do mnie przyjdzie”. I potem mi zawsze wytykał, że sama się zaangażowałam. Sama się zaprosiłam. My byliśmy

w ogromnej przyjaźni, on został ojcem chrzestnym na moją prośbę mojego syna, Ksawerego, naszego syna. I mimo tego, że był w sumie niewierzący właściwie, miał taki jakiś sztywny ten... Ale okazało się, że może jeden wierzący, powiedział ksiądz, i jedna osoba wierząca może się opiekować tym ochrzczonym. No to był przepiękny zupełnie, taki jakiś bardzo bliski ten chrzest, piękne, wielka przyjaźń, wielki człowiek. Nauczyłam się od niego tyle, że nawet co pewien czas chodzę na jego grób, na Powązki, zapytać, czy nie grzeszę jakoś, tak zawodowo. Najgorsza nasza wada to jest maniera, nie? Jak człowiek myśli – a już mam to, to już wiem. To wtedy leżymy, krótko powiedziawszy, bo to się krótko, szybko kończy. Więc ja się zawsze bałam tej manieri, prawda, żeby sobie nie ułatwiać życia.

Artur Kłus: Bo w tym Teatrze Powszechnym to pani jest od 1975 r. wtedy, tak?

Ewa Dałkowska: Tak, 35 lat. Nie chcieli mnie nigdzie puścić, bo chcieli mnie różni ludzie, bo już nie było Hübnera. Oni mnie nie chcieli wypuścić, wypuścili mnie wreszcie do Warlikowskiego. To jest pierwsze wypuszczenie. A tak to grałam w różnych teatrach, grałam w Rozmaitościach na przykład, fantastyczne zupełnie. „Uroczystość”, takie przedstawienie, które uwielbiałam. Bo znałam wtedy to całe grono, takie od Krzysia Warlikowskiego, od Jarzyny. Też mnie nie chcieli puścić do Jarzyny, a wreszcie puścili do Krzysia Warlikowskiego. No i już jestem znowu 16 lat, lubię być długo w teatrach.

Artur Kłus: Bo tutaj z jednej z takich wspomnień pani, właśnie pani pisała, że „Solidarność” to była pierwszą pani taką organizacją, do której pani przystąpiła, gdzie takie, można powiedzieć, społecznie ci ludzie się, cytując, „kochali”. To był taki czas w tej „Solidarności” takiego zjednoczenia.

Ewa Dałkowska: No Hübner zakładał „Solidarność” z naszymi pracownikami. I właśnie zobaczyłam, że wszyscy się do tego zapisali. To był dziejowy moment. Wcale Hübner nie musiał się angażować w taką stronę, ale to był właśnie taki człowiek, który nie przepuszczał tych rzeczy. No i wszyscy byliśmy w „Solidarności”, krótko powiedziawszy. Ale nie, nie będę nic mówić, bo nie wiem w tej chwili. W tej chwili nie wiem. Życie tam w tym teatrze to było życiem bez przerwy na zakazach, szczerze powiedziawszy. On proponował takie rzeczy do grania, że bardzo często one były zakazywane przez cenzurę, bo cenzura była. Nawet to, że wszystkie spektakle zarezerwowane, o które walczył, bo to Barańczak, Zagajewski, Kornhauser, tych poetów – Kelusa – chciał tych poetów wystawić i żebyśmy my zrobili taki, jakby to powiedzieć, spektakl z nas złożony, ze śpiewania i z mówienia. Nie można było się doprosić władz, no bo to już, to pokolenie 1968 r., czyli Kornhauser, Zagajewski i tak dalej, to było niedobre dla władzy, prawda? Bardzo. I w końcu zgodził się, zgodzili się i myśmy to zagrali. To było brane przez publiczność niewiarygodnie. Publiczność wchodziła i była tak wdzięczna. Dawno nie widziałam aż takiej publiczności. Teraz troszkę może widuję u Krzyska Warlikowskiego. Tak byli wdzięczni, że my to zagraliśmy, że oni to usłyszeli, że tego się już nie mówiło, jakby to powiedzieć. Właśnie pyta pan, co tam zakazane, co niezakazane. I zdjęli nam to oczywiście w stanie wojennym. I z tego wybuchł taki bunt właśnie w nas, żeśmy zrobili Teatr Domowy. Bo jeżeli kurczę blade wyrzucają nam coś takiego, to trzeba zrobić własnym głosem coś. Zaczęliśmy pracować nad tym teatrem, przyszedł Andrzej Piszczatowski, właśnie on zaproponował, zwrócił uwagę na taką rzecz. Mówić już o teatrze?

Artur Kłus: Możemy, tak.

Ewa Dałkowska: No bardzo mi się to spodobało. Pamiętam, w moim domu na Ursynowie właśnie na Nutki mieliśmy tę naradę, że będziemy to robić, że będzie to robić Andrzej Piszczatowski, Maciej Szary, ja i Emilian Kamiński, którego polecił Maciej Szary, bo Emilian grał na gitarze jak szalony, a potrzebny nam był instrument. No i zaczęliśmy rozmawiać, jak to robić. Nie żeby to była składanka złożona z piosenki i melodii i głupiego żartu, tylko żeby to był spektakl, który odbywa się w domu. Z takich przyczyn, że nigdzie nie może się indziej odbyć. Nie może się odbyć w kościele, bo zaraz przyjdą suki, bo kościół się narażał, aktorzy się narażali bardziej, więc myśmy tego nie chcieli robić. I tylko mogło się to odbyć w domu raz. U mnie. No i tak sobie dostaliśmy różne rzeczy od Kaczmarek, który był za granicą. Różne takie przesyłane „Bluzg”, mój mąż gdzieś wynalazł. Potem rozprzestrzeniły się doskonałe gazetki, które drukowały różne rzeczy. Samizdaty te wszystkie, to wszystko i z tym wszystkim mieliśmy do czynienia, przynoszono nam to. I ułożyliśmy taki poważny program „Ach, więc to tak” o stanie wojennym. No i myśleliśmy, że przyjdą tylko raz do mnie, musieliśmy tylko powiedzieć, że nikomu nie wolno mówić, bo to była zakazana działalność. Absolutnie ani przychodzić, ani grać. No i przyszli, to były imieninki, więc przynieśliśmy różne jedzonko. Nie wolno bić brawa, ale oczywiście bili. Wolno tylko się śmiać, nie wolno się spóźniać, bo można nas zdenerwować, bo jak się zacznie przedstawienie. No i to był taki składany, godzinny mniej więcej program z rozmaitych rzeczy. I oni powiedzieli, że oni chcą też. Ci, co byli naszymi gośćmi. No i jak się zaczęło, tak Piszczat został naszym szefem organizacyjnym. Miał wszystkie adresy napisane na kartce, tam zaszyfrowane, ale słabo. I zaczął działać. I zrobiła się taka rzecz, żeśmy 160 tego zagrali. Ale potem to ci z fabryki, ci... Najlepiej się grało zresztą, chcę powiedzieć, w wielobranżowym gronie. No bo nie jednym głosem jakby się odzywali widzowie. Siedzieli na podłodze. Grać trzeba było bardzo prawdziwie, nie można było nic oszukiwać. To po prostu niesamowite, mając taki oddech i zagrać coś, żeby oni nie myśleli, że ja fałszuję. To bardzo trudna sprawa, grać takie rzeczy. I nikt nie sygnął w ogóle przez 160 przedstawień. Tylko raz jakieś tam, namiary były z Monaru chłopców, bo takie widocznie zrobili taką branżówkę. Zakładali różne rzeczy, organizowali się, zostawiali zawsze na najważniejsze swoje zebranie po naszym przedstawieniu. Emilian brał teczkę i wychodził. On był aktorem, on nie miał się mieszać z jakimiś działaczami, prawda? Taki Emilian był zawsze. A oni robili wspaniałe narady. No z ziemi się podnosili, no krótko powiedziawszy. A potem tacy z fabryki mi powiedzieli: „czemu to takie smutne? Czemu to nie można by kabaretu jakiegoś zrobić?”. No to myśmy się okropnie zdenerwowali, że trzeba zrobić kabaret. Oczywiście fajnie, bo były takie radiowozy, można było z tego zrobić bardzo dobre takie scenki. Pietrzak nam też dostarczył, bo Pietrzak jak usłyszał, że gramy to, bardzo się ucieszył. Przyjechał z Kanady, ucieszył się, że już w Polsce, o już się robi, już jest, już jest premiera. Na premierę go zaprosiliśmy. Piszczat nam dał też wesołe kawałki. I tam różni ludzie dawali nam wesołe kawałki i zrobiliśmy „Radiowozy” tak zwane. I wesoło, ale nie mieliśmy odwagi tego zagrać. No bo to było takie przedtem szlachetne, prawda? A tutaj co my się mamy wygłupiać? Aż wreszcie nas zmusili, żebyśmy to zagrali. Jacyś widzowie mówią: „już widzimy, z kartek czytacie, czytacie”.

Artur Kłus: Pokażcie.

Ewa Dałkowska: Tak. Tak że to, no to tak mniej więcej tam wyglądało. Bardzo były, no przypomina mi się teraz, patrzę na rodziców, z psem. O, moi rodzice. Tatuś i mamusia i pies. Siedzą na naszej ulubionej kanapie. Tutaj jest telewizor. I tam się odbywają rozmaite rzeczy. O, już, tak? Dobrze.

Artur Kłus: A jak pani pamięta ten pierwszy, pierwsze spotkanie, bo pierwsza inauguracja tej

sztuki to był 1 listopad 1982 r. u pani w mieszkaniu na Ursynowie i jak pani sobie może wyobrazić to, że za godzinę na przykład do bloku zwykłego na Ursynowie ma przyjść ileś osób? Jak to było zorganizowane?

Ewa Dałkowska: No nic, wiedzieli, gdzie mają przyjść, zapraszał ich Andrzej Piszczatowski. Mieli się dyskretnie zachowywać. Ale jak się dyskretnie zachowywać, jeżeli 60 osób wchodzi na górę? No ale zachowywali się dyskretnie. Był profesor Korzeniewski, był Pietrzak. Kogo my tam jeszcze mieliśmy? Hübner. O, a propos Hübner, to mam taką anegdotę, że... No wiadomo, zobaczył to, powiedział, że może trzeba by było więcej dekoracji, Żebyśmy się przebierali w różne rzeczy, że może można coś tworzyć jeszcze. Tak troszeczkę nas skrytykował, Bardini też. A i Bardini był, nasi szefowie, co świadczy o tym, w jakim ja byłam teatrze, prawda? Nie musiałam się ukrywać przed Hübnerem i Bardinim. I po pewnym czasie jakieś zaczęły się kłopoty z cenzurą albo on miał kłopoty, że chodzić musiał na przesłuchania. W każdym razie powiedział, bo ciągle go chcieli wyrzucić, przecież był niewygodny: „ja już nic o teatrze domowym nie wiem”. Tak nam powiedział. [śmiech] A Bardini przychodził na nasze przedstawienia, bo wszystko sprawdzali. Przecież to było dzieło, prawda? Trzeba dzieło ocenić, poprawić i tak dalej. – Wspominała pani, że Bardini była niemal na każdym przedstawieniu. No znaczy nie, to chyba przesadziłam. Ale nie no, był na wesołym i smutnym, on raczej na gatunkowo. W każdym razie to wiadomo, to był obowiązek. – Ten pierwszy spektakl to „Przywracanie porządku” i to nawiązanie do więzienia stanu wojennego, tak? To była taka fabuła. – Przywracanie porządku to był tytuł wiersza Kornhauser... Barańczak. Barańczaka. „Przywracanie porządku”, żeśmy go zacytowali. Ale poza tym okazało się, że wszystko to, co ci chłopcy z 60. pokolenia: Zagajewski, Kornhauser, z '68. pokolenia pisali, nie pasuje do tych czasów. To był po prostu szok dla mnie, bo myśmy przecież uwielbiali tych poetów. Ale czasy się tak zmieniły i takie się zrobiły drastyczne, że tamte rzeczy w ogóle musieliśmy, jakby to powiedzieć, się ich pozbyć. Chociaż umieliśmy je, bo właśnie u Hübnera się grało i się zachwycało i tak dalej. Wszystko musieliśmy sobie zdobyć. Ale „Przywracanie porządku” to jest Barańczaka tytuł. O czym było? O świętach, no.